Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 22. Maja 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 21.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

POETA I ŚWIAT

PRZEPISAŁ ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU

BOLESŁAW PRUS

... Na kartkach tych pragnę opisać dramatyczne dzieje człowieka, który stworzony na poetę, został — dependentem...

Jeżeli w słowach powyższych znajdzie kto za wiele goryczy, niech obwinia nie mnie, ale porządek społeczny i naturę, która dając mi taką duszę jaką mam, zrobiła mnie tem, czem jestem.

Ale — dźwigajmy dalej cierniową koronę. Może przyszłość!...

* * *

Moja nieboszczka mama znała kuzynkę Juljusza Słowackiego, a zmarły ojciec często bywał w domu, w którym urodził się Fryderyk Szopen. Z tego powodu otrzymałem imiona: Fryderyka-Juljusza.

Ojciec nazywał mnie Fryderykiem i twierdził, że mam talent muzyczny. Mama nazywała tylko Juljuszem i była pewna, że zostanę poetą. Taka niezgodność poglądów często doprowadzała rodziców do sprzeczek. Zazwyczaj jednak godziła ich bawiąca w naszym domu ciocia Femcia, zapewniając poróżnionych, że posiadam równie wielkie zdolności do muzyki, jak i do poezji.

Ona pierwsza, gdy miałem lat pięć, poczęła udzielać mi lekcje fortepianu. Ponieważ ręce moje były za małe, więc z początku grałem tylko jednym palcem, melodję: »Wlazł kotek na płotek«... Wkrótce ciocia przekonała się, że dla pokierowania moich zdolności nie wystarczą jej muzykalne zasoby. Ja bowiem chciałem koniecznie grać wszystkiemi palcami, ale żadną miarą nie mogłem objąć ręką oktawy.

W tym wypadku natura po raz pierwszym obeszła się ze mną, jak macocha.

Gdym miał lat 6, przyjęto nauczyciela muzyki, który odznaczał się dużym talentem, ale trochę pił. W kwartał po nim nastał inny nauczyciel, gwałtownik i brutal, który, gdy w sali nie było świadków, tak ciągnął mnie za uszy, że mi do dziś dnia odstają.

Gdym doszedł do siedmiu lat, ojciec umarł. Wtedy mama i jej stronnictwo powiedzieli, że nie mam ani zdolności do muzyki, ani nawet słuchu, i moja artystyczna edukacja przerwała się na *Polce tremblante*.

Może i lepiej, żem się wyżej nie kształcił w muzyce, bo zapewne i w niej byłbym męczennikiem, jak w poezji. Duch mój jest zanadto samodzielny i, że tak powiem: rewolucyjny, w granicach legalności. A o ile znam muzykę, zdaje mi się, że sztuka ta wymaga głębokich reform.

Do dwunastego roku znajdowałem się pod wyłącznemi wpływami cioci i mamy. Ciocia Femcia, podówczas osoba starsza, co dzień odkrywała we mnie nowe zdolności; mama rozwijała mój poetycki talent.

W tej epoce żyłem tylko poezją. Prawie na każdą godzinę dnia mama wynajdywała, w zbiorze sławniejszych poetów, stosowne wiersze i uczyła mnie ich na pamięć. Sama doszła w końcu do takiej wprawy, że na miesiąc przed śmiercią zaczęła mówić wierszem. Mnie jednak z tej edukacji zostało nie wiele. Gdy mama czytała co przy mnie, umysł mój zajęty był samodzielnem tworzeniem i z tego powodu większa część jej pracy ginęła bez pożytku.

Z dziecinnych czasów został mi jeden cenny nabytek. Co wieczór, gdym był w łóżeczku, mama czytała wiersz Słowackiego: »W Szwajcarji«, przy którym zasypiałem. Dziś ile razy nadmiar poetycznej twórczości spędza mi sen z powiek, kładę się do łóżka i mówię półgłosem:

> Ileż cię razy dźwiękami lutni
> Budziłem i do snu kładłem!...
> A ty smutniejsza niż ludzie smutni,
> Za nowem biegłaś widziadłem...

Nigdy jeszcze nie było wypadku, ażebym nie zasnął, powtórzywszy tę strofkę dwa a najwięcej trzy razy.

Ponieważ nauka liter z elementarza, jako czysto mechaniczna, okazała się dla zdolności moich szkodliwą, więc mama uczyła mnie liter na utworach poetycznych.

Ale i ten system nie był dla mnie odpowiedni.

Gdy pokazywano literę, ja pytałem o wyraz — gdy objaśniano wyraz, myślałem o zdaniu, a nim wytłómaczono mi zdanie, zapomniałem litery. Ledwie w dziewiątym roku udało mi się o tyle opanować wyobraźnię, że patrząc na wyraz: *człowiek*, nie wymawiałem go: *cokolwiek*.

Za to na naukę pisania, mama nie kładła zbyt silnego nacisku, sądząc, że gdy zostanę wielkim poetą, będę mógł przyjąć sekretarza, obeznanego z rzemiosłem przyoblekania myśli w materjalną formę.

Po śmierci mamy (miałem wtedy lat dwanaście), główną moją opiekunką została ciocia Femcia, której dodano za współopiekuna dalekiego krewnego. Opiekun troszczył się przedewszystkiem o dobre umieszczenie moich kapitałów, w kwocie 50,000 zł.

Gdy się zaś z tem załatwił, zaczął wtrącać się do mego wychowania.

Pamiętam gwałtowną scenę, jaka wybuchła między nim i ciotką z powodu jego szorstkości i dzikich poglądów.

Był wieczór. Leżałem już w łóżku, a

w drugim pokoju opiekun naradzał się z ciotką Femcią. Ponieważ udawałem, że śpię, rozmowa więc z początku cicha, stała się głośną.

— No, moja pani — mówił opiekun — musimy w końcu pomyśleć o przyszłości chłopca.

— Myślimy o nim od chwili jego przyjścia na świat — odpowiedziała ciotka z powagą.

— Co to za myślenie!... — krzyknął opiekun. — Wychowałyście go po babsku...

— Zapominasz się pan!... — przerwała mu ciotka.

— Wcale nie, to pani zapominasz się.. Chłopak nic nie umie, głowę ma przewróconą, a pani zdaje się, że będzie poetą!... Zkąd poetą?... Boć ani jego rodzice, ani nawet dziadkowie nie zdradzali najmniejszych poetyckich aspiracyj...

— Więc chyba pan nie wierzysz w moc zapatrzenia?... — spytała oburzona ciotka.

— Jakiego zapatrzenia?... Na co się miał kto zapatrywać? — wyrzekł opiekun.

— A Słowacki?

— Jaki Słowacki?... Że nieboszczka znała jego kuzynkę, to zaraz chłopak ma być podobny do Słowackiego!... Wszyscy mający odrobinę rozsądku widzą jedno tylko: że ten przyszły genjusz jest tymczasem głupi jak stołowe nogi...

Nie dokończył, gdyż ciocia dostała spazmów i kazała mu natychmiast wyjść. W pół roku później miałem innego opiekuna, który nietylko zgadzał się na kierunek mojej edukacji, ale jeszcze pozwalał nam czerpać pieniądze z kapitału; procenta od moich 50,000 nie wystarczały na opędzenie wydatków.

Z tem wszystkiem, ciocia, pod naciskiem opinji osób bliżej z nami żyjących, oddała mnie na prywatną pensję męzką. Byłem tam do ośmnastego roku i opuściłem piątą klasę, zdaje mi się, że z patentem. Nauczyciele mieli dla mnie dość względów, ale koledzy dokuczali mi. Byli widać ulepieni z tej samej gliny co i mój pierwszy opiekun, bo używali takich jak on przezwisk i wymysłów.

Po opuszczeniu pensji studjowałem jakiś czas literaturę powszechną i estetykę. Wnet jednak zarzuciłem tę jałową pracę.

Pewien głębiej na świat patrzący człowiek powiedział mi, że dla twórczego ducha potrzebne są nie przepisy estetyczne, ale żywe wrażenia, nie suche nauki, ale uczucia. Widzieć, słyszeć, dotykać, — kochać, nienawidzieć, podziwiać, roznamiętniać się, słowem: doświadczać — oto najpierwsze warunki, ażeby poeta mógł podnosić umysły i zapalać serca.

Poglądy te, zupełnie zgodne z naturą mego talentu, zakomunikowałem cioci, o ile sobie przypominam, w dniu, w którym zacna ta, ale nie wolna od przesądów kobieta, nie chciała zapłacić małego długu, jaki zaciągnąłem przed kilkoma miesiącami. Wiem, że przy tej okazji wyniknął między nami spór. Ciocia pytała się: na co wydałem 300 czy 400 rubli? a ja odpowiedziałem, że albo muszę rzucić się w wir życia, albo — zmarnować talent. Ciocia z naciskiem zalecała mi, ażebym się dobrze prowadził i nie zaciągał długów, — ja twierdziłem, że długi będę dopóty zaciągał z konieczności, dopóki nie otrzymam dostatecznych zasiłków pieniężnych. Nareszcie znudzony oporem cioci powiedziałem, że z rozpaczy zapiszę się do wojska. Wtedy ustąpiła.

Gdym miał lat dziewiętnaście, przyszła mi myśl do poematu pod tytułem: *Nero*.

W tej epopei chciałem przedstawić rozpustę Cezara, cierpienia męczenników i pożar Rzymu. Ponieważ czułem, że brakuje mi odpowiednich wrażeń, postanowiłem więc puścić się w podróż.

Byliśmy z ciocią miesiąc w Rzymie, zkąd przenieśliśmy się na pół roku do Paryża. Miałem też zamiar wyjechać na dłuższy czas do Tulonu, aby tam patrząc na cierpienia skazanych na galery, zaczerpnąć materjał do opisu męczenników. Na nieszczęście, nie przysłano pieniędzy z kraju i musieliśmy wrócić do Warszawy.

Tu — zachorowałem, a lekarze zalecili mi dłuższy wypoczynek, przynajmniej w studjowaniu życia.

Warunek ten był ciosem dla poematu *Nero*, do którego wracałem jeszcze kilka razy, lecz zawsze z niepomyślnym skutkiem. A jednak praca ta, gdybym ją wykończył, wywołałaby przewrót w poezji!

Ażeby dać pojęcie o sile języka i oryginalności obrazów, opowiem wypadek.

Po powrocie do Warszawy wynajęliśmy połowę mieszkania od jednych państwa. Dzieliły nas zamknięte na klucz drzwi w pokoju jadalnym.

Kiedym dźwignął się z choroby, najmilszem mojem zajęciem było chodzić do naszej jadalni i tam, siadłszy na fotelu, pod owemi zamkniętemi drzwiami, czytać głośno pierwszy rozdział poematu, pod tytułem: *Orgja*, który w miarę potrzeby poprawiałem.

Los zrządził, że sąsiedzi mieli dwie córki: jedną piętnasto, drugą szesnastoletnią panienkę, a te po całych dniach słuchały mego utworu.

Cisza w pokoju panien i ich ciągłe przesiadywanie pode drzwiami, za któremi deklamowałem *Orgją*, zwróciły uwagę rodziców. Starzy obskuranci wysłali pewnego dnia córki do pokojów dalszych, sami zaczaili się na ich miejscu i — podsłuchali, com czytał.

Trudno wyobrazić sobie zadziwienie cioci, kiedy, w kilka minut po skończonej deklamacji wpadł do naszego mieszkania ojciec panien — i — w słowach, których tu nie powtórzę, wymówił nam lokal!... Dodał w końcu, że gdyby nie było mu wstyd świadczyć w tak brudnej sprawie, to zaskarżyłby mnie do sądu, nietylko za to, że czytam głośno, ale nawet, że trzymam w domu podobnie obrzydliwe bezeceństwa...

— Ależ panie! — mitygowałem szaleńca — to nie są żadne bezeceństwa, tylko początek mego poematu pod tytułem: *Nero!...*

— Toś pan sam pisał te wierszydła? — spytał dzikus.

— Ja, słowo honoru...

— W takim razie — przerwał mi stary zacofaniec — szczęśliwy pański ojciec, że nie żyje! Bo gdyby doczekał *Nerona*, to pewnie z rozpaczy w łeb by sobie strzelił... A może i panu!

W tydzień musieliśmy się wyprowadzić naciskani przez nieludzkiego sąsiada, gospodarza domu, a nawet rewirowego. Ciocia była bardzo zmartwiona i stratą lokalu, i jak mówiła, nieprzyzwoitością poematu, ale ja w oceanie goryczy znalazłem odrobinę zadowolenia, przekonawszy się, że stworzyłem dzieło odznaczające się oryginalnością i siłą.

W kilka miesięcy po ukończeniu rozdziału: *Orgja* i zupełnem przyjściu do zdrowia, zacząłem znowu myśleć o *Neronie*. Szukałem materjałów do rozdziału: *Pożar*.

Przypomniawszy sobie prawidło, że: poecie wolno potęgować rzeczywistość, postanowiłem — szukać pożarów małych, i z pojedyńczych obserwacyj utworzyć obraz... wielki.

Los na pozór sprzyjał mi. Jednego wieczora zobaczyłem z naszych okien — łunę. Rzuciłem szlafrok, ubrałem się, i, wybiegłszy na ulicę wsiadłem do dorożki, która w parę minut zawiozła mnie na miejsce.

Trafiłem doskonale, paliło się bowiem kilka drewnianych budynków na przestrzeni dość zacieśnionej. Usłyszałem trzask płonącego drzewa, jęki pogorzelców, krzyk ludu. Przedarłem się przez tłumy i — zadyszany, z zaiskrzonem okiem, zbliżyłem się tak, żem czuł gorąco ognia i zapach dymu. Wydobyłem mój notatnik i przy czerwonem świetle zacząłem utrwalać — wrażenia...

W tem jakaś nieumyta ręka wytrąciła mi książeczkę. Ktoś schwycił mnie za kołnierz i nim zdołałem zaprotestować, postawił mnie przed sikawką.

— Kiedyś tu wlazł gapiu, to pompuj! — krzyknął mnie w ucho jakiś grubjanin.

Ponieważ słowom jego zawtórował śmiech pospólstwa, więc, lękając się awantury, oparłem ręce na drągu sikawki. Zbytecznem byłoby dodawać, żem wcale nie pompował. Pomimo to byłem tak wzburzony, że cały zapas natchnienia pierzchnął. Wrażenia przepadły, tembardziej, że nie mogłem odszukać wytrąconej noteski.

Zmęczony, zlany wodą, zabłocony, a nadewszystko — zirytowany, wróciłem do domu.

Następny dzień przeleżałem w łóżku, a od tej pory, dreszcz przebiega mi po skórze, ile razy zobaczę pożar.

Mój *Nero* został przerwany na pieśni *Orgja*, do której materjały studjowałem w Paryżu, gdzie żadna brutalna pięść nie przerywała mi wątku pomysłów.

Biedny kraj, w którym wyżej ceni się pompowanie wody do sikawek, aniżeli natchnienie!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O PESYMIZMIE

podług dzieła: „Pessimism, a history and a criticism by James Sully"

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

III.

We wszystkich filozoficznych doktrynach, o jakich dotąd mówiliśmy, pesymizm nie był ani zupełnym, ani ścisłym. Występując w nich jako jeden ich pierwiastek, mniej lub więcej ważną w nich rolę odgrywający— był on zaledwie pospolitem mniemaniem, co najwięcej osobistem tego lub owego filozofa przekonaniem, któremu jednakże brakowało naukowego ugruntowania. Do wysokości zasady, filozoficznej doktryny, podniósł pesymizm dopiero Schopenhauer— ściśle określiwszy jego założenia i pod jedno naczelne pojęcie podprowadziwszy wszystkie jego twierdzenia. Ponieważ w budowaniu swego systematu Schopenhauer baczył głównie na to, ażeby swej nauce nadać jak największą jednolitość, ażeby z właściwej sobie zasady odpowiedzieć na wszystkie pytania i wyjaśnić wszystkie zagadnienia, jakie tylko filozofia mogła kiedykolwiek poruszyć; dla tego też niczem się nie różni jego filozofia od wszystkich innych systematów metafizycznych, które zaczynając od hypotezy i na niej kończąc, przypominają zamki na lodzie z lodu budowane.

Ścisłość logiczna, o którą on dbał najwięcej, zaprowadziła Schopenhauera tak daleko, że w swych twierdzeniach spotkał się z indyjskiem Budhyzmem. Do pokrewieństwa z nim sam on zresztą przyznaje się.

Jakkolwiek filozofia Schopenhauera jest wyłącznie dziełem oderwanego myślenia, kierującego się w swych wywodach nie uczuciem, ale logiczną konsekwencją — nie mniej wszakże dźwignią jej, ożywiającym ją duchem są osobiste jego usposobienia, skłonności i uczucia. Dla tego też potrzeba nam choć w sposób dorywczy poznać się z charakterem naszego filozofa.

Artur Schopenhauer urodził się w Gdańsku r. 1788. Ojciec jego, bogaty kupiec, odznaczał się niezależnym charakterem, ale zarazem gwałtownością i uporem; matka, żywego umysłu, znana jest w literaturze niemieckiej, jako autorka czytanych w swoim czasie powieści. Od najrańszej młodości objawiał nasz filozof wielkie zamiłowanie do literatury, ale jednocześnie, pomimo, że odznaczał się zdrowiem, że w życiu na niczem mu nie zbywało, zdradzał zawsze usposobienie mizantropiczne. Był ponurym, upartym, dziwacznym, drażliwym i uprzedzającym się do ludzi. Wady te, zarówno jak całe jego usposobienie pesymistyczne, przypisują dziś powszechnie chorobie mózgowej, którą on otrzymał w spadku po ojcu i babce. Ojciec jego w przystępie melancholji, odebrał sobie życie.

Drażliwość jego i uprzedzenie się do ludzi wzrastały z latami, w miarę napotykanych przeciwności w życiu i niepowodzeń. Lekkomyślność i rozrzutność jego matki wpłynęły na jego niechęć do kobiet; przeszkody, jakich doznał ze strony Hegla i Szlajermachera w osiągnieniu katedry filozofii, wyrobiły w nim nienawiść do wszystkich w ogóle profesorów filozofii. Nareszcie właściwy mu pesymistyczny sposób zapatrywania się na rzeczy kazał mu nienawidzieć Żydów, jako niepoprawnych optymistów. Pesymistyczny jego nastrój podsycanym był nadto wewnętrzną walką z samym sobą, na jaką go narażała sprzeczność między jego teoretycznemi wywodami, a naturalnemi skłonnościami i upodobaniami.

Gardząc ludźmi, uważając większość za głupców i szaleńców i tylko z małej ich cząstki robiąc wyjątek pod tym względem — czułym był jednakże na ich opinią o sobie i bardzo się interesował tem, co o nim mówią i piszą, żywo odczuwając tak przyjazne, jak i nieprzyjazne dla siebie głosy.

O kobietach wygłaszał zawsze zdania jak najbardziej im ubliżające, odsądzając je nie tylko od zalet rozumu i serca, ale odmawiając im nawet wdzięków ciała — tymczasem w praktyce na każdym kroku dowodził, że kształty kobiecego ciała nie były pozbawione pewnego uroku i miały nad nim wielką potęgę.

W teorji żądał od muzyki, ażeby ta stała się tem, czem ją później zrobił Wagner, tymczasem, ulegając swemu naturalnemu usposobieniu, chętniej zawsze słuchał muzyki Rosiniego, niż Bethowena lub Mozarta.

Dla uzupełnienia charakterystyki Schopenhauera dodać wypada, że pod względym narodowym był on zupełnym kosmopolitą, uważającym patrjotyzm za niedorzeczność. Zresztą, obojętny na sprawy polityczne, żądał tylko porządku społecznego, mniejsza jakim kosztem nabytego, ażeby mógł spokojnie oddawać się swym naukowym pracom — i dla tego wielkim był nieprzyjacielem rewolucyjnego stronnictwa.

W trzydziestym roku swego życia wystąpił Schopenhauer z głównem swem dziełem: Die Welt als Wille und Vorstellug. (Świat, jako wola i wyobrażenie.) W dziele tem zawiera się cała jego filozofia. W innych rozwija on tylko pojedyncze jej punkty, wyjaśnia i uwydatnia niektóre jej szczegóły.

Schopenhauer uważa siebie za najwierniejszego ucznia Kanta — jakoż w zasadzie przyjmuje główne podstawy *Krytyki czystego rozumu*.

Punktem wyjścia dla Schopenhauera jest wyobrażenie. Świat zewnętrzny jest dla zwykłego sposobu zapatrywania się zbiorem pojedyńczych rzeczy, o których wiemy, które znamy o tyle tylko, o ile je wyobrażamy. Ztąd świat dla nas nie jest czem innem, jak zbiorem wyobrażeń Czemże są te wyobrażenia? Z jakich składają się one pierwiastków?

Przedmiotem wyobrażenia jest rzecz jakaś, którą uważam za istniejącą zewnątrz mego ja. Otóż każdą rzecz muszę wyobrażać, jako rozciągłą, a więc zajmującą pewną przestrzeń, jako znajdującą się w pewnej chwili, to jest albo taką, którą postrzegam, albo przypominam lub też w przyszłości ją spostrzegę. Nadto muszę ją wyobrażać jako rzecz, która w stosunku do innej jest albo jej skutkiem, albo przyczyną. Słowem, że każdą rzecz muszę wyobrażać w warunkach przestrzeni, czasu i przyczynowości. Czemże są te warunki? Schopenhauer, wierny nauce swego mistrza, Kanta, utrzymuje, że są one prostemi formami naszego myślenia, mającemi znaczenie tylko w zakresie myślenia; że zewnątrz myślenia, w świecie zewnętrznym, rzeczywistym, nie masz nic takego, coby było przestrzenią, czasem, przyczyną, coby przez działanie na nasz umysł wywoływało w niem powstawanie tych pojęć. Są one wyłącznie wyrobkiem naszego umysłu, mózgowym fenomenem i niczem więcej nad to. Tego nie dość. W każdem wyobrażeniu, oprócz tych form naszego myślenia pustych i czczych w sobie, znajduje się jeszcze pewna treść, która je wypełnia, która stanowi własności wyobrażanej rzeczy. Zkąd ta treść pochodzi? Kant twierdził, że pochodzi ona z zewnątrz, od *rzeczy w samej sobie* i stanowi to, co nazywamy zmysłowemi wrażeniami. Zmysłowe jednakże wrażenia, jak to uczą nas nauki przyrodnicze, nie są czem innem, jak stanami naszego ja, zmianami naszej świadomości. Zewnątrz naszego *ja* nie masz nic takiego, coby było kolorem, dźwiękiam, zapachem, smakiem, cieplem i zimnem, bolem i głodem itd. — słowem, nie masz zewnątrz naszego *ja,* w świecie rzeczywistym, nic takiego, coby było podobnem, coby odpowiadało pod jakimkolwiekbądź względem naszym zmysłowym wrażeniom. Wyobrażenia więc nasze, jak widzimy, składają się wyłącznie i jedynie z pierwiastków, których im myślenie dostarcza; z zewnątrz, ze świata przedmiotowego nie biorą one nic. Jeżeli więc teraz zważymy, że świat zewnętrzny, przedmiotowy, jak go znamy, nie jest dla nas niczem innem, jak zbiorem wyobrażeń, które w sobie nie mają nic rzeczywistego, — zatem i świat ten cały, w którego istnienie zewnątrz naszego *ja* wierzymy, przestaje być czemś rzeczywistem, jest tylko złudzeniem naszego *ja,* fantasmagorją naszej myśli. Istnieje on tylko w naszem wyobrażeniu, istnieje tylko przez nie i dla niego, i istnieć będzie tak długo, jak długo istnieć będzie umysł, zdolny wyobrażenia. Z wyginięciem wszystkich istot, obdarzonych mózgiem, ze śmiercią ostatniego człowieka ginie także świat cały — albowiem przedmiot potąd tylko istnieje, pokąd trwa podmiot. Jedno bez drugiego ostać się nie może.

Z tem wszystkiem, jakkolwiek zewnątrz naszego *ja* nie masz świata, któryby się składał z pojedyńczych rzeczy, podległych warunkom czasu, przestrzeni i przyczynowości, mających wszystkie te własności, o jakich nas uczą nauki przyrodzone — jest coś, co nie będąc ani materją, ani duchem, ani wyobrażeniem, ani jakąś rzeczą pojedyńczą, jest jednakże rzeczywistością, jest światem realnym, który jest przeciwstawnością świata wyobrażanego. Tym światem realnym, tą rzeczą w samej sobie, jakby Kant nazwał — jest wola powszechna, ciemna, nieświadoma, ale ta sama w sobie, niepodzielna, wolna, będąca samą tylko dążnością, samem pragnieniem życia, wolą objawiania się. Wola ta powszechna, stanowiąca jedyny pierwiastek bytu — oznacza to, co w ogóle nazywamy siłą. Schopenhauer nazwał to wolą dla tego, że podług niego lepiej znamy wolę, której jesteśmy świadomi, poznajemy bezpośrednio, niż siłę, którą znamy o tyle, o ile ją upodobnić możemy z wolą. W każdym razie, ażeby zrozumieć należycie ową powszechną wolę, potrzeba ją brać w oderwaniu od wszystkiego, co stanowi wiedzę. Zawiera ona w sobie wszystkie te strony umysłowego życia, które zwykle zaliczają do woli i uczucia — z wykluczeniem tych, które wchodzą w skład inteligencji. Podług Schopenhauera bowiem dwie są tylko władze umysłu: wola i myślenie, uczucie stanowi tylko składowy pierwiastek woli.

Wola powszechna, będąc ślepą, nieświadomą swych aktów i celu dążnością, jest jednak-

że bezwzględnie wolną i w objawianiu się nie podlega żadnym bodźcom, żadnym pobudkom. Najpierwszym jej objawem jest materja, za pomocą której s'aje się ona widomą w swych pojawach; następnie siły przyrody i powstające za ich pośrednictwem różnorodne twory nieorganicznego świata. W dalszym ciągu powstają istoty żyjące — rośliny i zwierzęta, w których wytworzeniu pośredniczą *rodzaje*, będące bezpośrednim objawem woli i odgrywające tu rolę Platonowskich idei. Schopenhauer nie przyjmuje, by świat organiczny był dalszym tylko ciągiem, wyższym stopniem rozwoju świata nieorganicznego, i rodzajom przypisuje byt samodzielny, uważając je za stałe i niezmienne typy, których częściowym objawem są jednostki.

Wszystkie te objawy woli powszechnej nie są czem innem, jak jej aktami, które nie mają żadnej trwałości, powstają one na chwilę, jak fale na morzu, i zapadają, wracając do swego źródła. Są one tylko zjawiskami, pozorem — i jako takie, nie mają wolnej woli; charakterem ich jest konieczność, wyrażająca się w tworach świata nieorganicznego panowaniem praw niezmiennych, w tworach zaś żyjących — ich uległością bodźcom i pobudkom.

W początkowych swych objawach wola pozostaje zawsze ciemną, ślepą dążnością, objawiającą się w pojedyńczych tworach pragnieniem, usiłowaniem zachowania indywidualnego bytu — zkąd powstaje instynkt samozachowawczy, i zachowania swego rodzaju—zkąd pochodzi popęd płciowy. Przestaje ona być jednakże ciemną i ślepą od chwili pojawienia się tworów, obdarzonych systemem nerwowym. Z pojawieniem się materji nerwowej, występuje nowy pierwiastek—świadomość, która dochodzi pełnego rozwoju w mózgu, będącego organem wyobrażenia. Za pośrednictwem wyobrażenia wola powszechna staje się świadomą siebie najprzód jako wielość, jako zbiór indywidualnych objawów, pojedyńczych tworów przyrody, przedstawiających się wyobrażeniu w warunkach czasu, przestrzeni i prawa przyczynowości, a następnie, jako jedność tażsama, niepodzielna, wolna, nie znająca ani czasu, ani przestrzeni, ani przyczyny.

Człowiek, w którym mózg dochodzi największego rozwoju, staje się też organem najzupełniejszej świadomości. Świadomości tej dwa są stopnie. Gdy świadomość dojdzie do poznania świata, jako zbioru pojedyńczych tworów, jako wielości — staje się ona natenczas stwierdzeniem woli, jako dążności do objawiania się, jako pragnienia życia. Wola wtedy w człowieku staje się egoizmem, który jest źródłem wszystkich niegodziwości ludzkich. Przeciwnie, gdy świadomość wzniesie się do poznania zasady, do pojęcia świata w jego jedności — natenczas staje się ona zaprzeczeniem woli, jako dążności do objawiania się, jako pragnienia, chcenia życia. Na tem stanowisku ustaje egoizm, a natomiast powstaje litość i miłosierdzie.

Czemże jest samo życie ludzkie, to życie, dla którego podtrzymania tyle ofiar ponosimy, tyle walk przebywamy, które witamy nadzieją, a żegnamy z żalem, a nieraz i z rozpaczą? Życie ludzkie, tak, jak i byt każdego innego tworu przyrody, jest objawem powszechnej woli, jest zjawiskiem, pozorem, nie mającem trwałości i po chwilowym bycie zapadającym w otchłań niebytu. Życie więc z samej natury swej nie może mieć wielkiej wartości. Tego nie dość. Człowiek, będąc objawem woli, która jest zarazem i uczuciem, musi doznawać w sobie to, co sama wola powszechna uczuwa. Otóż jak wiemy, wola jest ślepem i nieprzerwanem pragnieniem, ustawną dążnością, ciągłem chceniem. Lecz pragnienie, dążność, chcenie, są wyrazem braku; pragniemy tego, czego nie mamy, chcemy tego, czego potrzebujemy. Brak zaś, potrzeba, jest cierpieniem. Ponieważ wola powszechna jest ciągłem dążeniem, więc musi też ona ciągłego doznawać braku, a więc — co za tem idzie — ciągle cierpieć. Istotą więc wszelkiego życia, jako objawu woli, jest cierpienie, które staje się tem większe, im większa towarzyszy mu świadomość. Dla tego też człowiek, ze wszystkich tworów, posiadających nerwowy system, cierpi najwięcej i cierpienia te wzrastać jeszcze będą tem więcej, im bardziej ludzkość postępować będzie w oświacie. Cywilizacja, postęp ludzkości, zamiast nieść z sobą zmniejszenie sumy cierpień, powiększa ją. Ci więc, którzy wiek złoty, wiek szczęścia umieszczają w przyszłości, oddają się daleko większemu złudzeniu, niż ludy starożytne, które raj, wiek złoty przenosili w odległą przeszłość. Im dalej postępuje ludzkość, tem większa nagromadza się suma cierpień, tem jaśniej i wyraźniej odczuwają się braki życia. Szczęście, którego człowiek spodziewa się w życiu, i które go podtrzymuje w jego kłopotach i troskach; jest złudzeniem, pochodzącem ztąd, że człowiek instynktowo podlega pragnieniu życia. Pojęte, jako sama przyjemność, nie da się ono nigdy osiągnąć — przyjemność bowiem nie jest czemś dodatniem, rzeczywistem, tak jak przykrość. Przyjemność jest tylko brakiem przykrości — i dla doznania przyjemności potrzeba wprzód doznać przykrości; im większa była przykrość, tem też większa nastąpi przyjemność z jej usunienia. Lecz w życiu, które jest wyrazem ciągłego pragnienia, a więc ciągłego, nigdy nieustającego braku, wciąż nowych i nowych potrzeb — rzadkie są tylko chwile wolne od przykrości, od cierpień. Zresztą, oprócz cierpienia, pochodzącego z braku zaspokojenia naszych potrzeb wyraźnych, określonych pod względem pragnień i żądań — dręczeni jesteśmy jeszcze nudami, które stawiają inny rodzaj cierpienia, właściwy tylko ludziom zamożnym, a pochodzący również z braku zaspokojenia potrzeb, ale potrzeb nieokreślonych, nie oznaczonych co do przedmiotu, mogącego je zadowolić. Jest to uczucie, w którem życie staje się ciężkiem, nieznośnem, i które nie rzadko wiedzie do samobójstwa. Życie więc ludzkie, składające się z licznych przykrości, cierpień i boleści, i z gorszych od wszystkich cierpień — nudów, nie warte tego zachodu, jaki poświęcamy dla jego podtrzymania, nie zasługuje na tyle trudów i ofiar, jakie ponosimy w celu przedłużenia go o lat kilka. Niczem nie usprawiedliwia ono naszych nadziei, jakie w niem pokładamy; paraliżuje ono wszystkie nasze plany i zamiary bez względu na to, czy są podyktowane przez myśl samolubną, gotową cały świat nagiąć do swej woli, czy przez szlachetne uczucie, wielkość narodu, szczęście ludzkości mające na celu. Przeznaczeniem człowieka jest cierpienie, co wykazuje sama pamięć nawet, która boleść, smutek przechowuje bardzo długo, zatrzymując w sobie wszystkie jego szczegóły; gdy tymczasem radość, chociażby najżywsza, z trudnością tylko przechowuje się w pamięci i we wspomnieniu nie ma tej siły i żywości, jaką posiadają uczucia przykre.

Czy więc żadnego nie ma dla człowieka ratunku przed nieszczęściem życia? żadnego środka uwolnienia się od cierpień, zabezpieczenia się od nich? Byli i są ludzie, którzy jedyny ratunek na to upatrują w samobójstwie. Filozofja Schopenhauera potępia stanowczo ten krok, który uważa nie jako czyn odwagi i hartu duszy, gardzącej życiem, ale jako postępek małoduszny, natchniony obawą cierpień, pragnieniem życia, ale życia wygodnego. Są na to inne środki, bardziej skuteczne i zgodniejsze ze stanowiskiem człowieka, co więcej, środki, które ochraniając człowieka od cierpień, dają mu jednocześnie możność zadośćuczynienia swemu przeznaczeniu. Środków tych dostarcza świadomość, ta sama świadomość, która jest źródłem wszystkich jego cierpień, a która tym razem odgrywa rolę owej dzidy Achilesa, zadającej rany jednym końcem i leczącej je drugim.

Wszystkie cierpienia życia pochodzą z tego, że wola jest dążnością do życia, pragnieniem objawiania się. Ażeby więc mogły ustać cierpienia, potrzeba, ażeby wola ta, jako dążenie do życia, jako chcenie objawiania się, zaprzeczyła siebie. Do takiego zaprzeczenia siebie dochodzi wola za pośrednictwem świadomości, będącej funkcją mózgowej materji. Wiemy już, że świadomości dwa są stopnie. Świadomość, pojmująca świat, jak zbiór jednostek, jest stwierdzeniem woli, jest pragnieniem życia — i towarzyszą mu cierpienia; świadomość, wznosząca się po nad wielość do pojęcia jedności świata, jako ogólnej, powszechnej zasady, zapatrująca się na rzeczywistość, jako na złudzenie i pojmująca całą nicość życia — jest zaprzeczeniem woli, jako pragnienia życia, jako dążenia do objawiania się.

Dwie są drogi, wiodące człowieka do osiągnienia tej doskonałości moralnej, dwa są praktyczne sposoby: — uprawa sztuk pięknych i ascetyzm. Sztuki piękne, wznoszące myśl ludzką po nad poziom codziennych spraw, odrywają ją od jednostkowych przedmiotów tego świata i pozwalają jej rozważać typowe postacie, które, będąc rodzajowemi pojęciami, zbliżają świadomość do powszechnej woli, rodzaje bowiem są bezpośrednim objawem tej woli, gdy tymczasem jednostki są jej objawem pośrednim, a więc dalszym.

Ascetyzm zaś, zabijający w nas instynkt samozachowawczy i popęd płciowy — jest najdoskonalszym i jedynym środkiem zupełnego zniesienia zaprzeczenia woli, jako chcenia życia. W tem zaprzeczeniu nie chodzi bowiem o skrócenie życia jednostki, lecz o to, by wola powszechna, przestała dążyć do objawienia się, przestała pragnąć żyć. Otóż do tego można tylko dojść w ten sposób, żeby cała ludzkość wyrobiła w sobie wzgardę do życia i przez przestrzeganie zakonnej czystości, przyspieszyła kres swego istnienia. Ze zgonem ostatniego człowieka, którego mózg jest owem zwierciadłem, odbijającem w sobie cały świat, jako akcję powszechnej woli — znika cały świat, gdyż z człowiekiem wygasa ognisko świadomości, znika wyobrażenie, będące światem. Odtąd wola ustaje dążyć do objawiania się, przestaje pragnąć żyć; odtąd utrwala się panowanie Nirwany — która jest niebytem świata obecnie istniejącego, która więc nie jest nicością gołą, czczą, gdyż zawsze pozostaje wola, ale wola pozbawiona chęci objawiania się. (C. d. n.)

WRESZCIE DOŻYLIŚMY ERY.

Wreszcie dożyliśmy ery;
W Wiedniu jesteśmy najpierwsi;
Tytuły, wstęgi, ordery
Spłynęły nam na sto piersi....
Wielki, miłosierny Boże!
Co to kraj gdy chce — mieć może!

A jednak, serce mnie boli;
Bo chociaż wiele się stało,
To mężów niezłomnej woli
W kraju — sto — trochę za mało.
Chciałbym ich mieć tysiąc — więcej,
Dwa, cztery, dziesięć tysięcy.

Tak, dziesięć. Bo dekoracja,
I ludziom i Bogu miła;
To polor, cywilizacja,
To nie są żarty, to siła.
Czemuż tak mało jej mamy?
Bo szkoły nasze — to kramy.

Patrzmy — prócz jednej wszechnicy
Co rzeźbi męże z kamienia,
Na Czarnieckiego ulicy —
Szkoła nasza co rozplenia?
Nic — lub owoce zatrute:
Bunt, rewolucję i butę.

Bez radykalnej poprawy
Zginiemy. Trzeba ankiety;
Poszlijmy ją na Morawy,
Mniejsza o koszta i djety.
Tam uczyć się naszej głowie,
Tam jest systemat — w Przerowie *).

Ztamtąd przywiezione ziarno
Krzewmy z uczuciem gorącem;
A wkrótce nie setką marną
Błyśniemy gwiazd — a tysiącem.
Ekscelencje, szambelany,
Zakwitną jak tulipany...

I stanie mężów moc duża,
Co gdy wybije godzina,
Żadna nie zwali ich burza.
Będą się gjąć jako trzcina....
I choćby kraj djabli brali,
Oni będą stać — jak stali.

M. Rodoć.

*) W Przerowie (Prerau) istnieje głośna na całe Niemcy akademja ...służby (P. A.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Biją żydów! Takie wyrażenia i towarzyszące im gestykulacje, dają się słyszeć i widzieć po ulicach Lwowa. Wprawdzie u nas nie biją i bić nie myślą, ale tu chodzi o żydów moskiewskich, o których usłużne gazety przynoszą nam co godzina co raz świeższe wiadomości. Każdego dnia po południu, przed ekspedycjami dzienników, panowie stróże lwowscy, jak wiadomo zaliczający się do amatorów polityki, wracając z gazetami do domu, czytają na głos owe przerażające wiadomości z Kijowa, Podwoloczysk albo ze Żmerynki, a grono przyjaciół politycznych, chwyta każde ich słowo i komentuje. Uważaliśmy, że najwięcej bawi ich owo rozpuszczanie pierza z betów żydowskich. Nie jesteśmy zwolennikami tego rodzaju egzekucyj ludowych i spodziewamy się, że nasz rząd podobnych ekscesów nigdyby nie dopuścił, jednak musimy ze smutkiem zaznaczyć, że owe wypadki z żydami w Rosji, jakoś nie wiele w tych warstwach ludności naszej znajdują potępienia, dlatego kto wie, czyby nie było lepiej, aby pisma nasze cokolwiek mniej zajmowały się szczegółami opisów tych burd kacapskich, które pod wpływem przerażenia żydowskich korespondentów przyjmują daleko większe rozmiary, niż są w rzeczywistości. Z drugiej strony, te odbywające się zdala od nas tragi-komedje, powinny wiele dać do myślenia i naszym ziomkom mojżeszowego wyznania przypominając, że każda zanadto przeciągnięta struna pęknąć może. Dlatego radzimy i zwracamy uwagę naszych nieco równością obywatelską rozzuchwalonych żydów, aby więcej zechcieli się liczyć z miejscowemi sympatjami, aniżeli z literą prawa, i żeby raz przyszli do przekonania, że obok nich jeszcze i inni ludzie żyć muszą, choćby dlatego, aby im materjału do eksploatacji nie zabrakło. U nas większa część żydów, ma się dotąd za Niemców; bo naprzykład w Tarnopolu 9000 zapisało się ich do tej narodowości, niechże więc nie mają przetensji, że społeczeństwo nasze traktuje ich jako obcych i mało się troszczy o losy żydów gdzieindziej.

Obok żydowskiej sprawy zajmują uwagę publiczną debaty budżetowe w Radzie miejskiej. Pan radca Mochnacki prawdziwą zrobił nam niespodziankę, a raczej odkrył nową Kalifornję dla dochodów miejskich w opłacie dodatków na potrzeby stolicy, które powinny uiszczać koleje w kraju egzystujące. Przeszło milion guldenów straciło miasto od r. 1869, to jest od czasu kiedy powinno było korzystać z ustawy, dozwalającej na takie opłaty. A że lepiej późno jak nigdy, więc spodziewamy się, że pomimo opozycji bezpośrednio interesowanych, uchwała podług wniosku p. Mochnackiego otrzyma większość w radzie i miasto Lwów zdobędzie się na fundusze, które pozwolą mu zrobić jaki taki u siebie porządek. Mając zwiększony dochód ze źródeł obcych, śmiało będzie można zaciągnąć pożyczkę i ostatecznie skończyć kwestję pachnącej Peltwi, z którą dalibóg gotowi jesteśmy zrobić toż samo, co kacapi z Żydami w Rosji.

„Kościuszko pod Racławicami“ jakoś nie przypadł tak do smaku lwowskiej publiczności, jak to miało miejsce w Krakowie. Trzecie przedstawienie tej wysoce patrjotycznej sztuki, pełnej efektów i wspomnień z najdroższej przeszłości naszej — już wyczerpało ciekawość naszą. Dawniej, poczciwe miasteczko nadpełtwiańskie miało innego ducha, dość przypomnieć uroczystość założenia kopca Unji — dziś, jakże się rzeczy zmieniają? — Jesteśmy więcej lojalno-obojętni, niż sam rząd c. k. o nas sądzi, skoro pierwotną osnowę sztuki pokiereszowano w policji z obawy, żeby nie wywołała zanadto gorących wzruszeń... Co się to stało, i gdzie mamy szukać straży pożarnej, która tak prędko potrafiła ugasić nasze zapały... Za to cyrk konnych jeźdźców prosperuje nieźle, a smak muzyczny wybornie się kształci na katarynkach. Wierzcie mi czytelnicy, te kataryni we Lwowie od niejakiego czasu tak się zagęściły, że już bywają plagą dla uszów mieszkańców. Nie ma dnia, żeby trzech albo czterech artystów tego instrumentu nie raczyło nas swoją melodją na dziedzińcach domów. Pytam się, zkąd ten podatek na cierpliwość ludzką, zkąd ten przywilej próżniaków, włóczących się od domu do domu, którym poprostu opłacać się trzeba, za to, aby nie świdrowali uszów krzykliwemi i przedętemi tonami, od których aż skóra cierpnie na człowieku... Czy na tę plagę katarynkową połączoną czasem z kwartetami na innych instrumentach nie ma jakiego sposobu? Czy policja lub magistrat nie mają prawa i obowiązku ograniczenia tych artystów w ich wędrówkach? We Francji, gdy ktoś za głośno chodzi mi nad głową na wyższem piętrze, mam prawo żądać interwencji policji, — a tu katarynkarze stanowią prawdziwych samowładców, bo wszędzie i w każdym czasie wstęp im jest dozwolony. — Proponuję założenie Towarzystwa dla uwolnienia się od tego rodzaju przymusowych koncertów, podobnego jak istnieje dla usunięcia żebractwa, i propozycję tę oddaję pod światłą rozwagę ludzi nerwowego usposobienia.

AUSTRJA, NIEMCY I SŁOWIANIE[1])

UWAGI POLITYCZNE.

(Przekład z rosyjskiego.)

I.

W ostatniah numerach „Rusi“ [2]) w przeglądach politycznych, autor tych przeglądów szeroko pisze o stosunku Europy zachodniej w ogóle, a Niemców w szczególności do Rosji i Słowian, i o planach Austrji i Niemiec stworzenia nowego panslawizmu austrjackiego, do których to planów pomaga im czynnie kurja rzymska i katolickie duchowieństwo.

Ja, bardzo niedawno opuściłem Austrję, w której mieszkałem lat kilka; i w ogóle w ziemiach słowiańskich zdarzało mi się bawić długo i niejednokrotnie, tak, że przedmiot tak żywo obchodzący autora przeglądów politycznych „Rusi“ jest mi dokładnie znany.

Według słów „Rusi“ przygotowuje się „kompletny system połączenia plemion słowiańskich na łonie katolickiego kościoła i pod zwierzchnictwem Habsburgów“, w czem, pomocnikami jej (Austrji) są nie tylko sam Bismark, ale i cała Europa zachodnia, z wyjątkiem jedynie, będącego czasowo przy władzy, liberalnego stronnictwa w Anglji. W tym mianowicie celu Papież Leon XIII niedawno „wydał encyklikę o beatyfikacji słowiańskich apostołów Cyryla i Metodego“ i zamierza postanowić „wskutek starań i planów b. nuncjusza w Wiedniu, monsignora Jacobini, dla Słowian katolików w Austrji, liturgję w języku słowiańskim. Nad projektem tym pracują obecnie w Watykanie. Niewiadomo jeszcze, czy będzie dopuszczony w liturgji nasz język cerkiewno-słowiański, czy też każdemu plemieniu pozostawionem będzie chwalić Boga w jego wła-

[1]) Studium niniejsze czerpiemy z najpoważniejszego rosyjskiego miesięcznika «Wiestnik Ewropy». Jest ono dla nas bardzo ważne i pouczające, gdyż odsłania i dosadnie charakteryzuje wrogie nam stronnictwo moskiewskich panslawistów. (P. R.)

[2]) «Ruś», dziennik moskiewski, redagowany przez osławionego rosyjskiego panslawistę Aksakowa. (P. T.)

snem narzeczu.“ (Mogę powiadomić autora, że rzecz ta jest już prawie rozstrzygnięta: nabożeństwo będzie wolno odprawiać w języku każdego szczepu; przynajmniej takiem jest życzenie rządu austrjackiego i do tego samego dąży Watykan, co zresztą jest łatwo zrozumiałem; liturgja w języku cerkiewno-słowiańskim byłaby wprost przeciwną celom „panslawizmu austrjackiego“, ścieśniając węzły Słowian między sobą i między nimi a Rosją, gdy tymczasem Austrja, pragnęłaby zerwać te węzły). „To plan nowej olbrzymiej *Unii*. Ponieważ massom narodu słowiańskiego prawosławnego świata najbardziej wstrętnem jest używanie łacińskiego języka, ponieważ język ten przedstawia się jako widoczna odgroda i widoczna, dotykalna różnica między katolicyzmem a prawosławiem, to za zniesieniem tej przeszkody i tej różnicy ustępują istotne trudności przyłączenia się do Unji i uznania Papieża jako głowę kościoła — zwłaszcza, jeżeli przejście to połączonem będzie z korzyścią całej zachodniej Europy i przeprowadzonem zostanie pod jej potężną opieką.“

Tak mówi „Ruś“ i mówi, czynię uwagę, zupełnie słusznie, — to jest słusznie w zarysach ogólnych; w szczegółach zaś — niesłusznie, lecz o tem będzie mowa poniżej. Tak, bez wątpienia Austrja zamyśla połączyć niektóre słowiańskie plemiona pod zwierzchnią władzą Habsburgów: pewnem jest także, że jej w tem pomaga Bismark. Co więcej, inicjatywa tego pomysłu należy właśnie do Bismarka, który go prawie gwałtem narzucił Austrji, gwałtem popchnął ją na tę drogę, i ciągle jeszcze popycha dalej i dalej. Pewnem jest jeszcze nakoniec i to, że Europa zachodnia nadzwyczaj przychylnie patrzy na ten pomysł i spełnienie się go, jeżeli to kiedykolwiek nastąpi, przyjmie jako najszczęśliwszy i najdobroczynniejszy dla siebie wypadek. Wszystko to jest pewnem, jak również pewnem jest i to, że sprawa ta nie jest bez niebezpieczeństwa dla Rosji a bardzo niebezpieczna dla Słowian w ogóle. Lecz pytanie, kto temu winien?

Czy Bismark, który stara się skorzystać z naszch zwycięztw nad Turcją i kwestję wschodnią rozwiązać na korzyść nie Słowian lecz Niemców? Nie sądzę ażeby go można było winić. Jest on pierwszym ministrem cesarstwa niemieckiego, twórcą tego cesarstwa, twórcą dziś jeszcze niezupełnego, lecz bliskiego w przyszłości zjednoczenia Niemiec; jest dyktatorem i świętością Niemców — naturalnie więc, że przedewszystkiem i jedynie obchodzi go interes cesarstwa niemieckiego i niemieckiego plemienia. Takie postępowanie stanowi nie winę lecz zasługę każdego męża stanu dla *własnego* swego narodu.

Kraj i naród — których naczelni politycy postępują inaczej, poświęcają ich interesa (często najbliższe i najżywotniejsze) celom postronnym — może głęboko ubolewać nad takim porządkiem rzeczy, lecz nie ma prawa winić sąsiadów, że ich ministrowie nie naśladują takiego zgubnego przykładu.

Czy tu nie winna Austrja? U nas w Rosji tak wiele mówiono i pisano o jej rozkładzie, o tem, że lada chwila rozsypie się i że powodem jej nieuniknionego upadku będzie nic innego, jak odrodzenie Słowian; — znakomity frazes „droga do Konstantynopola idzie przez Wiedeń“, tak często powtarzano i upiększano takimi niedwuznacznymi komentarzami, że byłoby dziwnie poprostu niesumiennie, obwiniać Austrję o to, że rękami i nogami odpycha od siebie to, grożące jej życiu, *według słów naszych* niebezpieczeństwo. Niech tam ona będzie sobie Bóg wie jak zgniłą i rozbitą, to jednak żyje, nie umarła, oddycha, a dokąd zachował się najlżejszy oddech w organizmie, to on nie może ani pogodzić się z myślą o śmierci, ani przestać z nią walczyć. Nieprzebieranie w środkach walki, również nie może być poczytanem jako wina w takich razach. Czy może być w ogóle mowa o winie lub racji, tam, gdzie żywy organizm czy to ludzki czy państwowy walczy z śmiertelnem niebezpieczeństwem? Stara się uratować — oto jego racja, racja przed którą musi zamilknąć wszelkie oskarżenie, która wyklucza nawet możliwość oskarżenia.

Czy nie winna Europa zachodnia? Jej jeśli można co zarzucić, to chyba współczucie jedno, ponieważ z wyjątkiem Papieża, bez współdziałania którego Niemcy obejść się nie mogli, zajęła ona względem planu „austrjackiego panslawizmu“, postawę najzupełniej bierną. Nie przeszkadza mu, być może pochwala go nawet, ale czynnego udziału w nim nie bierze, a zatem winy jej tu nie ma i być nie może.

Tak więc niewinni — t. j. działania ich nie mogą *być poczytane jako wina* — ani Bismark, ani Austrja, ani Europa zachodnia. A więc kto winien? — Według mnie, winien jest ten, kto w ręce naszych politycznych nieprzyjaciół włożył straszną broń religijnych rozterek, którą oni teraz zamierzają uderzyć Słowian w samo serce. Winien jest ten, kto pierwszy wygłosił zasadę, jakoby tożsamości słowiańskości z prawosławiem; winni są ci, którzy podchwyciwszy tę zadziwiającą zasadę usilnie i bezustannie przez lat dziesiątki starali się wbijać w głowę nieprawosławnym Słowianom, że nie ma dla nich miejsca w słowiańskiej rodzinie, że „Słowianie“ (?) nie przyznają ich za braci, że nie chcą ich znać, dokąd nie wyrzekną się oni wiary swych ojców, że Słowianinem tylko ten, kto prawosławny — starali się tak długo i tak skutecznie, że nakoniec wbili i rozdzielili Słowian na dwa obozy, na dwa przeciwne i z konieczności, organicznie wrogie sobie obozy. Nigdy, nie tylko żadnemu z austrjackich mężów stanu, pomiędzy którymi dawno już nie zjawił się choćby cokolwiek wybitniejszy rozum polityczny, ale nawet takiemu genjuszowi jak Bismark, nie mogłaby była przyjść do głowy myśl jakiegoś „austrjackiego panslawizmu“; nigdy żadnemu z plemion słowiańskich, ani nawet pojedyńczemu człowiekowi słowiańskiego pochodzenia, nie przyśniłaby się możliwość działania w podobnej sprawie, gdyby nie była postawioną owa złowroga zasada tożsamości słowiańskości z prawosławiem. A zasadę tę niestety, postawiliśmy my sami, Rosjanie, a mianowicie to rosyjskie stronnictwo, do którego należy i wśród którego tak wybitne zajmuje stanowisko znany redaktor-wydawca „Rusi“ *). Nie życzyli oni sobie zapewne i nie myśleli nawet o tem, że zadają ciężki cios słowiańszczyźnie i słowiańskiej idei, gdy na wszystkich rozstajnych drogach krzyczeli, że prawosławie jest niezbędnym warunkiem słowiańskości i że nie ma jej bez prawosławia; lecz, mimowoli, cios ten zadali, i teraz nie mogą o to prawować nikogo, jak tylko samych siebie. Nie pozostaje im nawet pociecha wymyślania Niemcom, ponieważ „austrjacki panslawizm“ wymyślili nie Niemcy; wymyślili go sami nieprawosławni Słowianie, a Niemcy, tę korzystną dla nich myśl jedynie uchwycili, obrobili, rozwinęli ją i dziś starają się ucieleśnić.

Raz postawiona zasada, że ten tylko prawdziwym jest Słowianinem, i że temu tylko należą się te wielkie i obfite korzyści, jakie uśmiechają się do Słowian z urzeczywistnienia wielkiej słowiańskiej idei — kto prawosławny, to pytam się, co mieli robić Słowianie nieprawosławni? Z jednej strony nie mogą oni przestać być Słowianami — to nie od nich zależy, cokolwiekby tam mówili nasi apostołowie prawosławia; z drugiej zaś — nie mogą ryczałtem, całą narodową masą, zmienić religji. Epoka takich masowych nawracań, minęła bezpowrotnie; a zresztą, coby to miało za sens, co wartoby było pod względem moralnym, podobne przejście całego narodu z jednego chrześciańskiego wyznania na inne? Odepchnięci przez przodujący naród Słowiański, odcięci od słowiańszczyzny, zaprzepaszczeni wśród przewyższających ich liczbą i kulturą wrogich plemion, nieprawosławni Słowianie widocznie przeznaczeni byli na zgubę; pozostawało im ginąć powolną śmiercią pod uciskiem germanizmu. Lecz oni są również żyjącym organizmem i umierać nie chcą. Postawieni przez nas — i to koniecznie pamiętać należy — przez nas samych postawieni przed tą ponurą perspektywą śmiertelnego niebezpieczeństwa co i Austrja, zaczęli tak jak i ona nie przebierając w środkach ratować się. Zarazem myśl połączenia się z Austrją przyszła sama przez się. I połączenie się to z nie swoim przyjacielem, ale z organizmem silnym do wspólnej walki z wspólnem niebezpieczeństwem, tak jest naturalnem, tak loicznie koniecznem, że sądzę byłoby najzupełniej zbytecznem szukać innego usprawiedliwienia dla nieprawosławnych Słowian. Bez wszelkich dalszych wywodów, żaden choć cokolwiek sumienny Rosjanin, nie otworzy ust, ażeby ich potępić.

Oto jakim sposobem urodziła się idea „austrjackiego panslawizmu“, który daleko słuszniej możnaby nazwać „panslawizmem Habsburgskim“, a to dla tego, iż rzeczywiście siłą przyciągającą dla nieprawosławnych Słowian, środkiem około którego już się grupują i pragną ugrupować jeszcze ściślej, jest wcale nie Austrja jako taka, ale Habsburgska dynastja, a w szczególności dzisiejszy jej, tak wysoko uczciwy przedstawiciel.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Aksakow.

O wpływie palenia tytoniu
na organizm dzieci i kobiet.

Rzecz o mniejszej lub większej szkodliwości palenia tytoniu na organizm, niejednokrotnie rozbieraną była, a wszystkie rezultaty osiągnięte z dokładnych studjów w tym kierunku, są z sobą zgodne i nikt już dzisiaj nie wątpi o tem, iż nikotyna przyswojona organizmowi za pomocą palenia tytoniu, wielką mu szkodę przynosi.

Jeżeli pomimo to, zwyczaj palenia nietylko nie ustaje, ale przeciwnie, rozszerza się w sposób gwałtowny, nie możemy jak tylko ubolewać nad tem; ktoby atoli wyciągnąć chciał ztąd wniosek, iż szkodliwość ta nie musi być tak wielką, skoro całe pokolenia oddają się temu nałogowi,

a pomimo to względnie pożądanem cieszą się zdrowiem, temu odpowiedzielibyśmy na to, iż używanie napojów spiritualnych, bez zaprzeczenia zdrowiu szkodzi, a pomimo to z równą namiętnością ludzie się i temu oddają nałogowi.

Nie będziemy tu dowodzić szkodliwości palenia na zdrowie w ogóle, zastanowimy się tylko nad tem, o ile palenie tytoniu przez dzieci i kobiety jest lub nie hygieniczne.

W każdym tytoniu znajduje się nadzwyczaj silnie trujący alkaloid, nikotyna (od 8% do 20%) która zgubnie na organizm oddziaływa, sprowadza zaburzenia w trawieniu, katar jamy ustnej, krtani i oskrzeli, rozstraja nerwy, wprawia palącego w pewien stan upojenia i zmusza go do przesiadywania w lokalach zadymionych, o powietrzu nieczystem etc.; jeżeli wszystkie te szkodliwości człowiek dorosły o organizmie zupełnie wykształconym, a zatem wielce odpornym, stosunkowo dobrze znieść może, to muszą one daleko zgubniej oddziaływać na ustrój słaby, będący dopiero w epoce rozwoju, a zatem nie posiadający dostatecznej odporności.

Chłopcy w epoce dojrzewania prowadzą i tak życie w wysokim stopniu nie hygieniczne.

Przebywanie przez 6 lub 7 godzin, najczęściej w ciasnych, nie przewietrzanych salach klasowych, siedzenie nad stołem w zgiętej pozycji, brak dostatecznego ruchu, praca usilna, nieraz do północy się przeciągająca dla wyuczenia się dokładnego lekcji: są to wszystko warunki zabijające rozwój młodocianego organizmu, gdy zaś do tego dodamy jeszcze smutne skutki nikotyny, to pojmiemy łatwo, iż siły fizyczne takiego chłopca nie będą mogły normalnie się rozwinąć.

Przedewszystkiem dzieci słabowite, skrofuliczne, mające skłonność do chorób płucnych, narażają się na wielkie niebezpieczeństwo paląc cygara lub papierosy; palenie to sprowadza skłonność do katarów na wszystkich błonach śluzowych, a nie zapominajmy, iż suchoty płucne, ta straszna choroba, która najczęściej w wieku dojrzewania się rozwija, nieraz od małoznaczącego kataru przewodów oddechowych się zaczyna.

Dzieci skrofuliczne mające obrzmiałe gruczoły na szyi, dostają bardzo łatwo przy paleniu, wyrzutów skórnych w postaci grubych strupów lub szpetnych pęcherzyków na twarzy, które nadzwyczaj są uparte i wszelkiemu leczeniu się opierają.

Palenie cygar zwłaszcza szkodliwe jest dla chłopców pochodzących z rodzin dotkniętych cierpieniami nerwowemi; dostają oni łatwo kurczów, drgawek różnego rodzaju, osłabienia mięśniowego, tracą sen, umysł ich staje się przytępionym i niezdolnym do pojmowania wykładanych nauk; nie mówię już o konwulsjach, które u indywiduów usposobionych do tego, tem łatwiej przy paleniu papierosów wystąpić mogą,

Jak szkodliwem musi być palenie dla dzieci, już z tego wnosić możemy, iż rzadko które dziecko bezkarnie po raz pierwszy cygaro do ust kładzie, zwykle następują nudności, ból głowy, a nieraz i wymioty, podczas kiedy dorosły człowiek nie palący, gdy przez żarty cygarem się zaciągnie, oprócz niesmaku w ustach, innych nie przedstawia objawów.

Nikt już dzisiaj nie wątpi o tem, iż palenie cygar zgubnie na trawienie oddziaływa.

Wypalone cygaro przed obiadem, sprawia, iż ślina i sok żołądkowy w znaczniejszej ilości się wywiązuje, skutkiem czego następuje pewne zmęczenie odpowiednich organów i soki te w zbyt małej ilości w czasie jedzenia i po jedzeniu się wydzielają; utrudnienie zatem trawienia, wadliwe wypełnianie tej funkcji koniecznem jest tego następstwem.

Palenie tytoniu po jedzeniu sprowadza zmianę składu chemicznego śliny, która w wielkiej ilości połykana, znowu utrudnia trawienie; jeżeli wpływ ten dla dorosłych jest niedobry, o ileż gorszym on być musi dla młodych chłopców, którzy potrzebują całej energji organów trawienia, żeby nietylko odbudować tkanki zużywające się w organizmie, ale nadto dostarczyć pewien nadmiar, mający posłużyć do rośnięcia i dojrzewania.

Dziecku zdrowemu oczywiście nie szkodzi to tyle, ile słabowitemu, skrofulicznemu i będącemu w stosunkach hygienicznych, o których powyżej wspomniano.

Wreszcie i w moralnym kierunku palenie papierosów źle na chłopców oddziaływa; zaprawia ono do próżniactwa, wpaja przekonanie niedorostkom o tem, iż są już dojrzałymi ludźmi i zachęca do spędzania całych godzin nad puszczaniem z ust dymu.

Palenie cygar niemniej niż dzieciom, szkodzi kobietom.

Rzecz ta była przedmiotem obszernych rozpraw w Paryżu, w towarzystwie medycyny publicznej (24 grudnia 1879 r. i 20 lutego 1880 r.)

Wszyscy mówcy zgodzili się na to, że gdy dowiedzioną jest rzeczą, iż palenie tytoniu, czyli powolne zatruwanie organizmu nikotyną, mężczyznom szkodzi, to jeszcze więcej szkodzić ono musi kobietom, mającym daleko wątlejszą budowę ciała niż mężczyźni.

Przedewseystkiem ważną tu rolę odgrywa system nerwowy, który u kobiet daleko jest słabszy, daleko czulszy na wszelkie podrażnienia, na wszystkie wpływy zewnętrzne niż u mężczyzn.

Owe migreny, ów rozstrój nerwowy, owa nadzwyczajna wrażliwość na silniejsze stuknięcie, nawet na głośne krzyknięcie, na świst lokomotywy etc, są prawie wyłączną właściwością piękniejszej połowy ludzkości; jeżeli organizm taki zatruwać będziemy systematycznie trucizną tak silną jak nikotyna, to rozdrażnienie to doprowadzimy do najwyższego stopnia, a nawet i cięższe zaburzenia w układzie nerwowym wystąpić mogą.

Richter, który w zakładzie swoim leczniczym doświadczenia nad chronicznem zatruciem organizmu nikotyną wykonywał, następujące podaje objawy jako jego skutki.

Ciśnienie na głowie, zawrot głowy, senność, ociężałość umysłowa, niejednostajność humoru, zaburzenia wzroku, podrażnienia mlecza pacierzowego, łatwe zmęczenie, niepewność w ruchach, drżenie, uczucie przestrachu i obawy, nieregularne bicie serca, palpitacje serca, schudnięcie, a jak czasem trudność oddechu i brak apetytu; nieraz doznają takie indywidua hallucynacji węchu, tak że wydaje im się, iż czują zapach tytoniu, chociaż w rzeczy samej tytoniu w bliskości wcale nie ma, ani też nikt go nie pali.

Zażywanie tabaki i żucie tytoniu, praktykowane zwłaszcza w marynarce, mniej jest szkodliwe niż palenie.

Chcąc uniknąć zgubnych następstw używania nikotyny, zaczęto wyrabiać cygara pozbawione tego alkaloidu, ale ich nikt nie używał, gdyż tak były słabe, iż palenie ich nie sprawiało palaczom żadnej przyjemności; pokazało się zatem, iż właśnie ta trująca część składowa tytoniu, wywołuje pewne w naszym organizmie zmiany, które tak wielką nam sprawiają przyjemność, iż bez niej prawie obejść się nie możemy.

Kobiety zatem i dzieci powinny absolutnie wstrzymywać się od palenia cygar, a mężowie i ojcowie niechaj dbają o to, żeby ten brzydki i szkodliwy nałóg się nie rozpowszechniał.

Jeżeli nie można od nich wymagać, żeby sami wstrzemięźliwością w tym względzie dobry dawali przykład, to przynajmniej niechaj wstrzymają się z paleniem we wspólnym lokalu, niechaj nie robią wędzarni z całego swojego mieszkania; niechaj za przykładem Anglików przeznaczą jeden pokój do palenia cygar, a pozostałe niechaj będą wolne od dymu tytoniowego, który nie dla wszystkich jest przyjemny.

Będzie to już pewne ograniczenie, które korzystnie wpłynie na samych palących a i przykładu złego i pokusy dla dzieci się uniknie.

TEATR.

W ubiegłym tygodniu ujrzeliśmy na naszej scenie dwie nowe sztuki. Na rzecz funduszu imienia Mickiewicza wystawiono za staraniem odnośnego komitetu czteroaktowy dramat, oryginalnie napisany p. t. »*Biała gołąbka*«. Jest to pierwszy sceniczny utwór młodego autora, pana Mieczysława Szmitta.

Ponieważ utworowi temu nie można rokować, ażeby się utrzymał w repertoarze, przeto poprzestająo na tej pobieżnej wzmiance, przechodzimy do drugiej nowości, która ostatniemi czasy budziła powszechne zajęcie.

Obraz sceniczny W. L. Lassoty, *Kościuszko pod Racławicami*, chociaż nie rości sobie wcale pretensji do wyżyn Parnasowych, jest niezawodnie jednym z tych utworów, które się nigdy nie starzeją i zawsze będą mile widziane, bo wieje z nich myśl poczciwa i gorący patrjotyzm. Sceny bohaterskiego entuzjazmu, krwawych zapasów i cichego poświęcenia splotły się tu w barwną, wielce urozmaiconą, a do głębi przenikającą całość. Wszystko to przesuwa się jak luźne obrazy kalejdoskopu przed oczami widza; nie masz tam żadnej intrygi, żadnej prawie łączności między poszczególnymi obrazami, a przecież widz śledzi z uwagą przebieg całej sztuki, bo każda scena coraz nowe potrąca struny, krzepi na duchu i zapala umysły wspomnieniem tak pięknej, tak podniosłej chwili, jaką było powstanie Kościuszkowskie. Ów najpopularniejszy bohater narodowy, zwycięzca z pod Racławic i jego szlachetne dążności, przedstawione z nieporównaną werwą i uderzającą plastyką, przemawiają zarówno do wszystkich umysłów, a tem samem sztuka ta posiada wszystkie zalety obrazu ludowego, z którego nauczy się nie jedno pokolenie — zwłaszcza z warstw, nie mających sposobności do bliższego poznania dziejów ojczystych — kochać i czcić spuściznę narodową. W tem też właśnie leży prawdziwa a wielka zasługa sztuki — i tryumf autora.

Do powodzenia tego sympatycznego utworu nie mało przyczyniła się też i Dyrekcja ze

wszech miar bardzo starannem wystawieniem i odpowiedną obsadą ról pierwszorzędnych. Kilka nowych dekoracyj umyślnie do tej sztuki sprawionych, z historyczną ścisłością wykonane kostiumy, staranna charakteryzacja głównego bohatera (p. Woleński), a nareszcie zręczne i energiczne inscenowanie — wszystko to, troskliwie obmyślane, wywołało niekłamany zapał między tłumnie zebraną publicznością. Prócz pana Woleńskiego zbierali rzęsiste oklaski także p. Fiszer w roli szlachetnego Abrahama, p. Podwyszyński w roli lirnika, p. Zamojski w roli prezydenta, a nareszcie p. Milaszewski jako Bartosz Głowacki — wszyscy inni wykonawcy drobniejszych ról trzymali się także dobrze, nie mówiąc już o pani Aszpergerowej, która była typową matroną staropolską. Pomimo tak zadawalniającego przedstawienia, pozwolimy sobie przecież zrobić uwagę, czyby też rzecz nie zyskała na zamianie ról między pp. Milaszewskim i Zboińskim, a to chociażby tylko dla samych fizycznych względów, jak głos, postawa, ruchy itp. Nie chcemy przez to bynajmniej nikomu ubliżać, zdaje nam się jednak, że zamiana taka byłaby bez ujmy dla obu artystów a z niemałym pożytkiem dla sztuki. *R. St.*

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Balzac Honoriusz.* Komedja ludzka, tom I. Kobieta trzydziestoletnia. Gobsek, przekład W. Marrené, 8-ka, str. 206. tom II. Eugenia Graudet. — Gabinet starożytności, przekład Marji Trzcińskiej, 8-ka, str. 274. Warszawa 1881, 2 tomy. 3 zł. 40 ct.

— *Chmielowski Antoni K.* Kazania na niedziele i święta całego roku, miane w kościele św. Krzyża w Warszawie, tom I. 8-ka, str. 809. Kraków 1880. 4 zł. 50 ct.

— *Collins Wilkie:* Siła przeznaczenia (Armadale) powieść, tłum. z angielskiego, 3 tomy, 8-ka, str. 323, 406, 393. Warszawa 1881. 4 zł. 50 ct.

— *Flamm F.* Rzecz o wekslach i czekach ze skorowidzem encyklopedycznym międzynarodowym. Część I. o wekslach i czekach, zeszyt I i II, 8-ka, str. 122. Warszawa 1881, zeszyt po 48 ct.

— *Grimm Józef.* Teoretyczno - praktyczna szkoła na organy, oraz podręcznik zupełny dla organistów, zawierający nieszpory, hymny i responsorje najbardziej używane w katolickim kościele przy ważniejszych uroczystościach, oraz dwie msze świątle, jedna żałobna i krótkie przygrywki podczas służby Bożej. 4-o, str. 58. Wilno 1881. 3 zł. 75 ct.

— *Herz Karol dr.* Kosmografja z licznemi drzeworytami w tekście, zeszyt II. od str. 83 do 162. Warszawa 1881. Cena za komplet 3 zł.

— *Księga pamiątkowa* w 50 letnią rocznicę powstania roku 1830, zawierająca spis imienny dowódzców i sztabsoficerów, tudzież oficerów, podoficerów i żołnierzy armii polskiej w tymże roku krzyżem wojskowym „Virtuti Militari“ ozdobionych, 4-o, str. 224. Lwów 1881. 3 zł.

— *Lermontow. Demon* 16-ka, str. 53. Warszawa 1881. 20 ct.

— *Liguori św. Alfons.* Męki Pańskiej prosty wykład według opisu świętych ewangelistów z przydaniem krótkich modlitw, 8-ka, str. 86. Kraków 1880. 25 ct.

— *Liguori św. Alfons.* Uwagi nad tajemnicami męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, 8-ka, str. 247. Kraków 1880. 45 ct.

— *Majewski Erazm.* Potop biblijny i perjodyczne potopy ziemi, przez Erazma Majewskiego. Warszawa 1881. 90 ct.

— *Mostowski Adolf.* Komedje oryginalne XIII i XIV. „Pani pułkownikowa“ w dwóch aktach prozą i „Wykolejeni“ w czterech aktach prozą, 8-ka, str. 202. Warszawa 1881. 1 zł. 50 ct.

— *Mostowski Adolf.* Ptaszęta Boże, poezje, 8-ka, str. 71. Warszawa 1881. 1 zł. 10 ct.

— *Mrówka Janek.* Pogadanki w karczmie podsłuchane i spisane, 8-ka, str. 20. Warszawa 1881. 12 ct.

— *Musset Alfred de.* Ludwisia, komedja w dwóch aktach, 16-ka, str. 62. Warszawa 1881. 20 ct.

— *Okolski Antoni dr.* Wykład prawa administracyjnego i obowiązującego w Królestwie polskiem, 8-ka, str. 475. Warszawa 1881. 6 zł. 40 ct.

— *Parczewski A. J.* Z dolnych Łużyc kilka rysów i wspomnień, 8ka, str. 31. Warszawa 1881. 45 ct.

— *Paryż po zmierzchu* czyli nocne życie paryzkie, przełożył z angielskiego oryginału Teofil Nowosielski, 8-ka, str. 138. Warszawa 1881. 75 ct.

— *Podręczna encyklopedja handlowa,* wydana staraniem redakcji „Gazety Handlowej“, 8-ka, str. 640. Warszawa 1881. 4 zł. 80 ct.

— *Prokop O. Kapucyn.* Święty Feliks, patron dziatek, 8-ka, str. 108. Kraków 1880. 25 ct. Na papierze welinowym 75 ct.

— *Przyborowski Walery.* Niewieście ideały poetów polskich. Szkice biograficzno-literackie, 8-ka, str. 272. Warszawa 1881. 2 zł.

— *Puszkin.* Cyganie, powieść, przekład Mirosława Dobrzańskiego, 16-ka, str. 31. Warszawa 1881. 20 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Na ostatniem XXVI posiedzeniu „Koła literackiego“, p. Platon Kostecki, odczytał uwieńczony na konkursie Madryckim wiersz swój na cześć Calderona, a p. Fryderyk Papée zdał sprawę z dzieła prof. Smolki „Mieszko stary i jego wiek“. Następne posiedzenie Koła w piątek, 27. b. m.

*** Dr. Gietler, prof. językoznawstwa słowiańskiego w uniwersytecie zagrzebskim, odbył wycieczkę na wschód, zkąd przywiózł mnóstwo starożytności słowiańskich.

Niektóre książki, zdobyte w klasztorze Gebel-Mua, dotyczą pierwotnej cywilizacji lechickiej.

*** Dziennik „Semaine“ zamieszcza przekład powieści Kraszewskiego „Le comte Brühl“, nadto obejmuje sprawozdanie Horna o znakomitych polskich poetach, podług studjum Blumenstoka.

*** Ksawery Marmier wydał „Contes populaires de différents pays“, w których dział słowiański znalazł pomieszczenie.

Z polskich ustępów znajdują się tam klechdy, oraz kilka baśni ludowych w lichem tłómaczeniu.

Marmier korzystał z niemieckiego zbioru: „Bauerhaus“, podał więc przekłady z drugiej ręki.

*** Paryzki nakładca Plon ogłosił w tych dniach w Paryżu, Berlinie i Londynie niedrukowaną dotychczas korespondencję księcia Talleyranda z Ludwikiem XVIII podczas kongresu wiedeńskiego z roku 1814 z uwagami Palama.

*** Otwarcie czeskiego teatru w Pradze nastąpi dnia 28. b. m. Projektowaną jest wielka uroczystość narodowa. Program pierwszego dnia już ułożony: 1) Walne zebranie w teatrze; mowę wstępną wypowie Rieger. 2) Bankiet na 300 osób. 3) Teatr *paré*. Mają też być urządzone imponujące pochody delegacyj całych Czech i t. p. Przez cały ciąg festynów wychodzić będą specjalne wydawnictwa teatralne w świetnej formie.

*** „Times“ donosi, iż w dniu 5. b. m. Sarah Bernhardt wraz z swoją truppą popłynęła na parowcu „Amerique“ z powrotem do Europy. Sarah dała w Stanach Zjednoczonych ogółem 162 przedstawień, z których osiągnięto 470,278 dolarów brutto dochodu, z czego jej samej przypadnie 181,430 dolarów. Występowała ona w dziewiętnastu stanach, jako też w Kanadzie. Podróż jej była najkorzystniejszem przedsiębiorstwem dramatycznem, jakie kiedykolwiek podejmowano w Stanach Zjednoczonych. W dniu 14. czerwca Bernhardt wystąpi w teatrze „Gaiety“ w Londynie.

*** Saint-Saëns pisze nową operę, która we wrześniu r. b. wystawioną być ma w wielkiej operze paryzkiej; tekstu dostarczyli pp. Detroyat i Armand-Silvestre.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Dzienniki włoskie donoszą, iż w tych dniach zawiązała się we Włoszech nowa sekta religijna. Pewien apostoł włościański z Manarello wyobraził sobie, iż otrzymał z niebios polecenie utworzenia sekty nazwanej „nazzarystów“. Najdziwniejszem jest, iż znaleźli się już zwolennicy tej sekty.

*** „Daily News“ donosi, iż dyrektor poczty londyńskiej postanowił sposobem próby użyć pewnej liczby głuchoniemych w biurze przeznaczonem do rozdziału dzienników.

*** Pani Last, Angielka, na koszt towarzystwa misyjnego odbyła wyprawę do wschodniej Afryki.

Śmiała podróżniczka dotarła do stacji Mamboja, wśród wzgórz Ukaguru i nadesłała towarzystwu geograficznemu sprawozdanie o ludach tamże zamieszkałych.

Jest to pierwsza znana ekspedycja urządzona przez kobietę z rezultatem naukowym.

*** Do „Standarda“ donoszą z Chios o szkodach zrządzonych przez ostatnią katastrofę. Według tego zabitych zostało 4,189 osób, a 1,015 ciężko rannych. Domów runęło 14,000, a szkody w pieniądzach podają na cztery miljony funtów szterlingów.

*** Widzieliśmy już tresowane konie, małpy, psy i niedźwiedzie...

W Warszawie, w cyrku p. Salamońskiego sprytny klown wyprowadził na arenę... członka korporacji zwanej u nas pospolicie nierogacizną!

Nowy ten „artysta“ spisywał się doskonale!

*** W Nowym Yorku trzy siostry niepospolicie pięknie przezwano: Wojna, Zabójstwo i Śmierć... Autentyczne.

Treść: Poeta i świat, przepisał ze znalezionego rękopisu B. Prus. — O pesymizmie, przez W. Kozłowskiego (c. d.). — Wreszcie dożyliśmy ery, wiersz, M. Rodocia. — Kronika tygodniowa. — Austrja, Niemcy i Słowianie, uwagi polityczne, przekład z rosyjskiego. — O wpływie palenia tytoniu na organizm dzieci i kobiet. — Teatr. — Bibljografja polska. Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, arkusz 21.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.